

Sławomira Walczewska

Matka gastronomiczna

Kto tego nie widziała? - obrazek dość typowy w pociągu do Kołobrzegu albo do Nowego Sącza. Mama, tata i dzieci wybierają się na wakacje. Oprócz walizek i plecaków wnoszą do pociągu drobne bagaże zapakowane w reklamówki. W przedziale reklamówkami obstawia się mama. Jest w nich jedzenie: kanapki, jajka na twardo, pomidory, jabłka, termos z herbatą, ciastka, chrupki i cukierki na drogę. Mama zawiaduje dobrami z reklamówek. Z powagą wydziela je dzieciom i mężowi. Raz po raz czujnie pyta: "Paweł, zjadłbyś kanapkę?", "Jurek nie jesteś głodny?". Czuwa stale nad sytością żołądków całej rodziny. Czasami ktoś wykazuje inicjatywę i prosi o kanapkę. Mama wtedy sięga do plastikowych toreb i pomrukuje z aprobatą: "widzisz, mówiłam, że będziesz głodny". Wydaje przy tym dodatkowe dyspozycje: "uważaj nie pobrudź się tym pomidorem", "tu masz serwetkę", żeby delikwent nie sądził, że proces konsumpcji może odbywać się całkowicie poza jej kontrolą. Mama nigdy nie odmawia jedzenia, najwyżej się droczy: "jeszcze chcesz czekoladkę? - jak będziesz jadł tyle słodczy, to ci się zęby popsują".

Do kręgu obsługiwanego - a zarazem kontrolowanego - przez mamę należą nie tylko dzieci, lecz także tato. Jego obsługa przebiega jedynie w sposób bardziej ceremonialny. "Olek, a ty byś coś zjadł?" pyta mama ostrożnie. "Bo ja wiem..." tato zaznacza swój dystans, "a co masz?". "Kanapki z pasztetem i papryką. Dobre.", zachęca mama. "tych z szynką już nie ma?" targuje się tato. "Dzieci zjadły. Ale pasztet jest dobry, świeży", podsuwa mu mama. "Bo będziesz głodny", dodaje. "A to daj ten pasztet", łaskawie godzi się tato.

Jedzenie jest czynnością zrytualizowaną. Nie jest tak, że każdy może w dowolnym momencie sięgnąć po posiłek. W scenie z pociągu matka zajmowała się dystrybucją jedzenia, które wcześniej zapewne sama przygotowała. Wydzielała je nie tylko dzieciom, ale także mężowi. Mógłby obsłużyć się sam, jest osobą dorosłą, lecz nie robił tego, podtrzymując rytuał. Matka zajmuje w tym rytuale wyróżnioną pozycję. Sama przygotowała jedzenie na drogę i trzyma je w zasięgu ręki, "żeby się nie przewróciło", "żeby się nie wylało". Siebie samą umieszcza w centrum cennego ładunku. Tak samo jest w domu. Kuchnia jest jej terytorium. Ona przygotowuje posiłki i ona je podaje. Nawet gdy jest zapracowana i przyjmuje ofertę pomocy w kuchni, szybko okazuje się, że tak naprawdę tylko ona potrafi zrobić wszystko, tak jak trzeba.

Pomiędzy głodem, tym fundamentalnym, archaicznym i bolesnym poczuciem braku, a bezpieczną zadowoloną sytością sytuuje się matka gastronomiczna ze swym rytuałem kulinarnym, swym obszarem władzy. Ona decyduje o tym, co, gdzie i kiedy będzie można zjeść. Ona ustala menu, najwyżej konsultując je niezobowiązująco z resztą rodziny. Wagę swoich ustaleń podwyższa czasem obiecując "coś pysznego" na obiad. Tylko ona jest przy tym w posiadaniu tajemnicy, czym jest to "coś pysznego" a tajemnica, jak wiadomo, jest ozdobą majestatu.

Matka określa pory posiłków. Dostosowuje je oczywiście do rozkładu zajęć pozostałych członków i członkiń rodziny, lecz do niej właśnie należy ostatnie słowo - ona przecież wie najlepiej, jak długo będzie gotować się zupa, a ile czasu dusić pieczeń. Z przygotowanych przez nią posiłków nie można korzystać swobodnie. Ona sama je podaje, ona "wie najlepiej", jak to zrobić. Dotyczy to zwłaszcza obiadów niedzielnych lub posiłków świątecznych. Na "samoobsługę" pozwala, gdy nie może być w domu w czasie posiłku. Wiadomo jednak, że obiad, który wyjęto się z lodówki i podgrzało, ma mniejszą rangę, niż obiad podany z zachowaniem pełnego rytuału, serwowany przez mamę. Ten pierwszy jedynie w sposób mechaniczny syci głód, drugi natomiast dodatkowo zapewnia poczucie bezpieczeństwa, daje zadowolenie.

Związek między poczuciem bezpieczeństwa kulinarnego a swą osobistą aktywnością kuchenną matka gastronomiczna podtrzymuje przez ideologię "domowych obiadków". Mają one być dobre i zdrowe w przeciwieństwie do "restauracyjnych" czy "stołkówkowych", o których nigdy nie wiadomo co w nich jest. Gdyby jednak porównać ilość zatruc grzybami w sezonie grzybowym czy jadem kiełbasianym pomiędzy gospodarstwami domowymi a placówkami gastronomicznymi, "obiadki domowe" zapewne przegrałyby z kretesem.

Matka Karmicielka infantylizuje swoją rodzinę. Chce być dla niej tak ważna i niezbędna, jak matka karmiąca dla niemowlęcia. Jest niepewna swej roli w rodzinie, boi się. Chodzi na zakupy, znosi do domu kilogramy różnych dóbr, wystaje godzinami nad parującymi garnkami, kroci, obiera, dosypuje, przyprawia.

Godzinami dodatkowej pracy, zniszczonymi dłońmi, skaleczeniami, poparzeniami, okupuje swój lęk przed odrzuceniem, pominięciem, lekceważeniem.

Wydaje się że matka jest bardziej suwerenna jako przygotowująca i rozdzielająca posiłki, niż reszta rodziny. Matka je wtedy gdy ma na to ochotę, podjada, próbuje z garnków, zjada resztki, ma większą swobodę od innych członków rodziny w dostępie do jedzenia i w dysponowaniu nim. Konsumenci i konsumenci przyrządzanych przez mamę posiłków są od niej uzależnieni. Jedzą na sygnał dany przez matkę. Jeśli się ociągają matka ponagla: "Jedz bo zupa ostygnie!" Czasami nie mogą sobie sami nalać tej zupy na talerz, bo

kuchnia jest terenem matki i tylko ona wie, jak podgrzać zupę żeby jej nie przypalić i jak ją nalać na talerz, żeby jej nie rozlać.

Dużym nakładem czasu i pracy okupuje matka swoją wyróżnioną pozycję, swą niezbędność dla rodziny. Im mniejsze jest poczucie jej własnej wartości i przekonanie o roli w rodzinie, tym bardziej nasila się jej terror gastronomiczny. Rodzina, mimo drobnych niewygód na ogół profituje z tego, bo wprawdzie nie ma swobodnego, bezpośredniego dostępu do jedzenia, ale za to ma zapewniony codziennie obfity, ciepły posiłek. Niedogodności można sobie zrekompensować robiąc sarkastyczne uwagi co do jakości posiłku, co zresztą matka gastronomiczna odbiera jako atak na swoją własną osobę, zagrożenie dla jej poczucia wartości.

Kuchnia nie jest twierdza matki zwycięskiej, władczej. To jest jej ostatni szaniec. Matka gastronomiczna jest w głębokiej defensywie. Czuje, że jest zewsząd wyparta, że w świecie tak mało od niej zależy, i tym mocniej okopuje się na swych kuchennych pozycjach. Wyręczyć ją w czymś? - broń boże. Niby pozwala ale zaraz krytykuje wszystko, co się zrobiło i sama robi od nowa. Królestwo matki gastronomicznej nazywa się czasem matriarchatem domowym, obszarem władzy matki. Rzeczywiście, matka gastronomiczna ma wielką władzę. Przez żołądek dociera do głowy i serca. Jednym okrzykiem "Zupa na stole!" obezwładnia i przerywa zażarte dyskusje. Stwarza potrzebę bezpieczeństwa kulinarnego, uzależnia jej zaspokojenie od swojej działalności kuchennej i przez to zajmuje wyróżnioną pozycję w rodzinie. Jej zwycięstwo w kuchni jest jednak Pyrrusowym zwycięstwem, wygrana wymaga zbyt wielkich nakładów pracy i czasu, by ją można było zagospodarować także na innych obszarach, poza kuchnią i jadalnią.

I żałosny, i irytujący jest ten codzienny despotyzm domowy umęczonej, zapracowanej matki gastronomicznej...